

Bezszelestne pluralizmu

gilotyny

26 listopada 2009

Kryzys nigdy nie jest kryzysem jakiejś izolowanej dziedziny społecznej. Wraz z rozsypką gospodarczą załamują się utarte wzory myślenia, zmienia się zarówno klimat intelektualny bijący z prasy przeznaczonej dla klasy średniej, jak i tematyka rozmów toczony w zatłoczonym tramwaju. Dość szybko zanikła ikonografia przedstawiająca wymuskanych „lanserów” z komórką przy uchu, z oniemiałymi oczyma utkwionymi gdzieś między rozszalałymi wykresami nieustannych wzrostów, za każdym razem wołającymi „Kupuj!”. Zaczęto nieśmiało rozważać dopuszczalność heretyckich hipotez, że to, co się dzieje na giełdach nie jest niekończącym się potokiem szczęścia. Jednak święte oburzenie, jakie wśród liberałów wywołało hasło: „Nie będziemy płacić za wasz kryzys!”, doskonale uzmysławia, jak cennym dla liberałów jest mit ponadklasowej jedności, przywoływany głównie wtedy, gdy PKB leci w dół, bezrobocie pnie się w górę, a czerstwe dłonie „roszczeniowców” zaciskają się w pięści. Opony płoną na ulicach, płoną w głowach. Tylko w wizjach liberałów jednostki zamieniają się w jedność, a konkurencja w konsensus. 4 czerwca czcili nie kapitalizm, a demokrację. Nikt im chyba nie powiedział, że nie powinni.

Demokracja liberalna to demokracja urządzona po myśli liberałów. W skrócie: merytoryczność zamiast demagogii, wspólnota zamiast partykularyzmu, pluralizm zamiast arbitralności, dialog zamiast przemocy. I oczywiście eksperci zamiast homo sovieticusów. To również przestrzeń wolności brzydzącej się wyścigiem szczurów. Jeśli wolność, to tylko „dobrze rozumiana”, czyli wolność światłych jednostek, nie zaś samowola motłochu. Aż trudno uwierzyć, że ludzie, którzy nigdy nie ustają w przestrobach przed utopiami – bo według nich zawsze okazują się one sprzeczne z naturą ludzką i prowadzą do ludobójstwa – skłonni są jednocześnie twierdzić, że w

powyższych warunkach może istnieć życie. Co więcej, jest ono na wyciągnięcie ręki. Potrzeba tylko wyborów, dzięki którym ludzie raz na kilka lat wyrażą swą opinię, kto ma nimi rządzić, oraz konstytucji, która zagwarantuje ochronę praw obywatelskich, prawa wolności słowa i (kto by pomyślał?) prawa własności – przed dyktaturą większości. Granicą wolności jest wolność innych – rzekł J.S. Mill. I słowo ciałem się stało.

To nie wszystko. Jest nawet coś dla lewicowców – równość. Równość wobec prawa, rzecz jasna, bo inne jej odmiany grożą totalitaryzmem. Obywatele legitymują się takimi samymi dowodami osobistymi i wypełniają takie same druki w urzędach. Wobec każdego obowiązuje domniemanie niewinności. Każdemu przysługuje adwokat z urzędu, oraz prawo do kupienia sobie lepszego na wolnym rynku adwokatów. Jasno z tego wynika: „i bogacz, i diabeł tu są za pan brat”. I co lewaku? Nie pogadasz... Po co ci socjalizm, kiedy wszystko masz już w demokracji liberalnej, czyli prawdziwej?

LIBERALNE ŁUPU-CUPU

Jedyna rzecz, która może zniweczyć tę idyllę to ciemny lud, który jej nie chce. Trzeba zatem wyjaśnić mu, że chcieć powinien. Nic dziwnego, że w okolicach 4 czerwca, czyli dwudziestej rocznicy powołania rządu Mazowieckiego, kolejne wydania Gazety Wyborczej aż wrzały od liberalnych treści. Oprócz stonowanych wykładów liberalnej doktryny zdarzały się też teksty popełnione najwyraźniej w afekcie. I tak Adam Michnik przekonywał, że odrzucenie liberalnej demokracji oznacza zielone światło dla Czerwonych Brygad, a PRL była przykładem, jak wygląda państwo rządzone przez tego rodzaju organizacje [1]. Jakkolwiek absurdalnym wydaje się ustawienie to. Gierka w jednym szeregu z kimkolwiek z Czerwonych Brygad, to sposób myślenia Michnika odsłania sedno liberalnego poglądu na istnienie przemocy w społeczeństwie i skłonność do niej w konfliktach społecznych: w dowolnej chwili można przyjąć najlepszy z ustrojów, niosący ludziom braterskie porozumienie, a jeżeli coś w nim nie działa i pojawia się przemoc, to jest

tak dlatego, że istnieją źli ludzie, którzy chcą wszystko zniszczyć. Paradoksalnie, niedługo potem Piotr Pacewicz zachęcał całą Polskę do wznoszenia rocznicowego „toastu za wolność”, podsumowując swój felieton sarmackim zawołaniem: „A kto nie wypije, tego we dwa kije, łupu-cupu!” [2].

Zaiste, przednia heca. Zdarzają się takie dlatego, że – jak łatwo zauważy każdy, kto potrafi się zdobyć na krztynę krytycznego myślenia – myśl liberalna, po wyzbyciu się wszystkich filozoficznych niuansów, a uczepiwszy się sloganów, zbyt łatwo staje się ideologiczną pałką, którą „oświeceni” wbijają ludowi do głów wolność, równość i braterstwo. Może inne święte trójce? Otwartość, dialog, pluralizm? – można je komponować dowolnie. Ale niech ktoś policzy ile razy w „wolnych mediach”, będących ponoć ostoją pluralizmu, w dyskusji o konających właśnie stoczniach pojawił się głos samych stoczniowców. Duch liberalizmu kędy chce tchnie – a może raczej: kędy chcą liberałowie. Gdyby nabierali się na to tylko ci, którzy uznają rynek za demokratyczną instytucję, byłoby jeszcze pół biedy. Problem w tym, że w liberalizm polityczny wierzą również lewicowcy. Dla niektórych z nich „zasłona niewiedzy” Rawlsa (czyli ustawodawstwo niewrażliwe na rzeczywisty interes, czy też na realną pozycję społeczną) jest kwintesencją sprawiedliwości, bowiem nikogo nie uprzywilejowuje. Zresztą stoi za tym idea o wiele starsza, zgodnie z którą demokracja daje wytchnienie od kapitalizmu, a przynajmniej pozwala go „załagodzić”. Tymczasem w społeczeństwach klasowych, a w takich żyjemy, uprzywilejowanie po prostu jest i nie potrzebuje żadnej zasady politycznej – oprócz prawa własności. Jak widać, niewiele potrzeba, żeby za równość wziąć jej atrapę.

Demokracja, która przede wszystkim ma oznaczać stan zbiorowego samostanowienia, zetraca się tym samym w zbiorowej kapitulacji wobec rzeczywistości dominacji klasowej, której w paradygmacie liberalnym w ogóle nie da się wyartykułować, ponieważ jej źródło – władza ekonomiczna, władza nad pracą innych ludzi –

nie odnajduje swego miejsca w przestrzeni politycznej. W tych warunkach demokracja, której – podobnie jak socjalizmu – nie da się zadekretować, zamknąć w ustawowych formułach, ma obowiązek otrząsnąć się z liberalnego otępienia. Nie będzie zgody, nie będzie jedności, ktoś zapała gniewem, ktoś przegra z kretesem. W przeciwnym razie demokracja nigdy nie stanie się rzeczywistością społeczną, a na zawsze pozostanie własną podręcznikową teorią – pozłacanym fetyszem demokratów i jednocześnie porażką tych, którym ci składają swe obietnice.

Zaraz na początku transformacji w Polsce, na okoliczność jednego z poważnych strajków, ówczesny przerażony minister pracy Jacek Kuroń naradzał się z gen. Kiszczakiem w sprawie ewentualności użycia wojska celem „zakończenia” strajku [3]. Nie, nie chodzi tu wcale o „Polskę Kiszczaka i Kurońa”, tylko o to czym był liberalizm liberalnego rządu Tadeusza Mazowieckiego. Czołgów na szczęście nie użyto. Ale gdyby użyto by ich wówczas, to czy byłaby to w dalszym ciągu demokracja liberalna, czy nie? Gdyby była, to jak byłoby możliwe, żeby w ustroju mającym na sztandarach wypisany pluralizm jako tamę dającą odpór przemocy w polityce, dochodziło do takich rzeczy? Gdyby nie była to jednak liberalna demokracja, to dlaczego liberałowie, dysponując zestawem liberalnych instytucji, nie są w stanie zapewnić istnienia liberalnej demokracji? Pytanie jest po części retoryczne, ponieważ gdyby doszło wtedy do rozpędzenia strajkujących czołgami, to oczywiście byłaby to liberalna demokracja. Parę lat wcześniej Margaret Thatcher udowodniła, że liberalizm chętnie korzysta z pałki. Zawsze w takich sytuacjach usłyszymy o konieczności respektowania rządów prawa, o ile będzie pewność, że nikt nie będzie zadawał szczegółowych pytań o to, kto i w czym interesie prawa ustanawia. Jeżeli jednak powyższy paradoks uznać za nietrywialny, to jak można próbować go rozwiązać? Być może liberalna demokracja nie jest tym, czym ma być? Być może liberałowie w ogóle mają kiepskie pojęcie o demokracji?

I WSZYSCY RAZEM

Wydaje się liberałowie chcą przede wszystkim demokracji jako urzędowej metody pozwalającej wolnym jednostkom na pokojowe współistnienie, dlatego żądają wbudowania w system bezpieczników chroniących autonomię jednostek przed zamachem na nią ze strony większości. Demokracja jest tu więzią łączącą jednostki i działa jako gwarancja ich pomyślności. Ten punkt wyjścia wyklucza oczywiście prawomocność sytuacji, w której większość chce czegoś innego, niż dobra każdej z jednostek. W praktyce duch demokracji liberalnej sprowadza się więc do konstytucjonalizmu, mającego stanowić przybliżenie „wiecznego powrotu” pierwotnej umowy o wzajemności między jednostkami: są pewne nienaruszalne zasady, które dyscyplinując jednakowo wszystkich wyznaczają przewidywalne ramy uprawiania polityki i sprawowania władzy, minimalizując ryzyko despotyzmu. Jeżeli wszyscy się na nie godzą, to dzięki nim gra polityczna może toczyć się bez uciekania się do przemocy, a – jak podkreśla były marksista Adam Przeworski – stanowić ma to podstawową zaletę demokracji [4].

Problem pojawia się wraz z tymi, którzy się na te reguły nie godzą. Cóż, powiedzą liberałowie, konstytucję zawsze można zmienić tak, żeby odpowiadała wszystkim. Ale otóż to! Liberałowie nie przewidują jednocześnie możliwości takiej zmiany konstytucji, której konsekwencje nie miałyby odpowiadać wszystkim. Pokreślmy: chodzi to, że konsekwencje zmiany nikogo nie krzywdziły – nikt nie powinien ucierpieć. Owszem, mogą sobie to wyobrazić, z miejsca jednak wieszczą kres demokracji, gotowej pożreć własny ogon. Akt konstytucyjny tym ma się różnić od „zwykłego” aktu ustawodawczego, że demos deklaruje swe preferencje nie w postaci wąsko pojętych interesów, a raczej „idei” czy „wartości”, określających ogólny charakter ustroju, który decydują się powołać do życia i pozostawić przyszłym pokoleniom. Poszczególne partie lub „partnerzy społeczni” przekraczają więc tym samym izolację interesowności, na którą skazuje je „zwykła polityka” [5]. Akt konstytucyjny ucieleśniać ma więc najcenniejszą dla liberalizmu zasadę – pluralizm, funkcjonującym jako

przybliżenie obiektywności poprzez interubiektywność.

Liberalizm składa niejako obietnicę ucieczki od polityki uprawianej jako walka na wyniszczenie, czyli od tego jej wydania, w którym najsilniej wciąga ona jej uczestników i najbardziej brzydzi jej obserwatorów. Brzydota „zwykłej polityki” każe zadać jednak szereg prowokacyjnych pytań o samą zasadę konstytucyjną. Wszak hołdując pluralizmowi, trudno nie podnieść kwestii domniemanej tyranii większości (lub mniejszości), z którą muszą mierzyć się liberałowie nawet w tzw. stabilnych demokracjach. Problem relacji między wolą większości, a wolą powszechną, doczekał się najprzebieglejszej (i najbezzwzględniejszej) interpretacji w słynnym passusie z Umowy społecznej, gdzie Rousseau przecina ten węzeł gordyjski jednym despotycznym cięciem: ci, którzy są w mniejszości po prostu pomylili się; głosując w konkretnej sprawie, nie odgadli woli powszechnej, którą sami powołali o życia w akcie umowy pierwotnej. Absurdalność takiej metafizyki politycznej bije po oczach, istnieje jednak skłonność do traktowania jej jako przejawu niedojrzałości teorii demokracji. Problem polega jednak na czym innym i nie chodzi dokładnie o dyktaturę większości, bo dyktatura mniejszości może stanowić ten sam problem, choć wspiera się nie na sile głosu, ale z reguły na tzw. swobodach obywatelskich lub prawie do równego traktowania. Chodzi o sytuację, w której raz ustanowiony pluralizm – jako harmonia interesów, „nietotalitarna” odmiana jednomyślności – chwilę później zapodrziewa się gdzieś na wybojach demokracji, wzmianki o dobru wspólnym doczekać mogą się jedynie uśmieszku politowania, a termin pluralizm zaczyna budzić irytację, towarzyszącą ogólnemu odczuciu, że „przecież to nie tak miało być”.

Powód jest prozaiczny: demokracja działa w czasie. W trakcie jej stosowania okazuje się zazwyczaj, że warunki, w których interesy wydawały się ze sobą harmonizować, ulegają zmianie – i to najczęściej w wyniku rozwoju jej wewnętrznej dynamiki. I tak na przykład klasowy charakter społeczeństwa, chociaż nie

zapisany w konstytucji, jest za jej pomocą legitymizowany. Coraz silniej daje o sobie znać przekonanie, że konstytucja to jedynie pusta formuła – skrawek papieru, który wielu liberałów miałoby ochotę cisnąć do śmietnika historii, choć nie przyznają tego, bo to przecież konstytucja. Żeby teraz ją zmienić, trzeba znowu osiągnąć warunki bliskie konsensusowi, ale w tej sytuacji grupa, która jest de facto uprzywilejowana przez rozminięcie się realiów z założeniami, takim konsensusem wcale nie jest zainteresowana – i nic dziwnego. Idealnym komentarzem byłaby tu uwaga Roberta Dahla, że konsensus może w rzeczywistości stanowić nic innego, jak tylko dyktaturę mniejszości – grupy niechętniej zmianom [6]. Demokracja jako proces zachodzący w bardzo niepewnej rzeczywistości przesądza o tym, że ci, którzy odrzucają bieżący konsensus, pojawiają się zazwyczaj jako rozczarowani – jako ci, którzy się na nim zawiedli. Skoro tak, to nawet jeżeli deklarują się oni jako demokraci, demokracja liberalna w działaniu „wypluwa” ich jako niedemokratycznych. Dzieje się tak wtedy, gdy zadośćuczynienie ich rozczarowaniu, nie znajduje akceptacji strony w pełni zadowolonej z tego, co konsensus daje im formalnie i nieformalnie. W akt konstytucyjny nie są wbudowane żadne bezpieczniki mogące ochronić go przed stoczeniem się w bagno „zwykłej polityki”, gdyż polityka w ogóle jest uprawiana głównie poza legalnymi ramami polityczności. Ramy te nigdy nie pasują do ewoluujących stosunków społecznych, m.in. stosunków produkcji, dlatego nadzwyczaj często służą do utrwalania wsteczności. Największym problemem liberalizmu jest pytanie o demokratyczność zmiany społecznej.

LIBERALIZM, KTÓREGO NIE BYŁO, CZYLI KIESZONKOWCY HISTORII

Demokracja oznacza zdolność ludzkich zbiorowości do samostanowienia. Z kolei nic o tej zdolności nie świadczy lepiej niż możliwość wprowadzania zmian. W świetle tego, co powiedziano powyżej, dla liberalizmu oznacza to nie lada wyzwanie. Liberalna koncepcja akcentuje zatem formalny, statyczny aspekt porządku demokratycznego. Podobnie jak w

ekonomii neoklasycznej dobrowolność i swobodna gra indywidualnych interesów wyrażają się w równowadze rynkowej oznaczającej optymalną alokację, tak i liberalna demokracja postrzega dobro wspólne jako pochodną pluralizmu. Za pośrednictwem gwarancji instytucjonalnych ma on chronić politykę przed pokusą esencjalizmu, czyli przed sprawowaniem władzy w imię jedynej prawdy o idealnym społeczeństwie. Ten liberalny punkt widzenia jest łatwo przyswajalny dla dziennikarzy telewizyjnych, dlatego funkcjonuje dziś jako „wiadomo, że...”. Łatwo jest zatem twierdzić, że esencjalizm jest niedopuszczalny, pachnie bowiem platonizmem, a platonizm jest zły, bo jego wersją był ponoć bolszewizm – uznany dziś za synonim despotyzmu. Polityka oparta na bezkompromisowym wcielaniu w życie „prawdy” przez jej oświeconych depozytariuszy, stanowi dla liberałów równie pochyłą tyranię – w czym generalnie nie można im odmówić słuszności. Jeżeli ktoś wierzy w wartość demokracji, nie uzna raczej, że istnieje grupa wtajemniczonych, posiadających monopol na prawdę, a całe społeczeństwo ma być im posłuszne pro publico bono.

Świadczyć o tym może popularność, jaką cieszą się proceduralistyczne teorie demokracji, chociażby Habermasa koncepcja demokracji deliberatywnej lub doktryny czerpiące z Schumpetera, traktujące demokrację jako metodę podejmowania decyzji opartą – a jakże! – na konkurencji. O ile nowożytna myśl demokratyczna koncentrowała się w dużej mierze na zagadnieniu podmiotu polityki, wiązało się to bowiem z niezwykle palącym politycznym pytaniem o suwerena, to liberalizm epoki nowoczesności stara się przedstawić demokrację przede wszystkim jako problem techniczny (uznano chyba, że powszechne prawo wyborcze rozwiązuje problem podmiotu). Nie chodzi o to, że procesy demokratyczne mogą zostać wyprane z polityki, a raczej o to, że odpowiedni zestaw procedur określających porządek zgłaszania projektów ustaw, dyskusji i głosowania, pozwala ścieżką pluralizmu dojść do upragnionego meritum, dzięki któremu demokracja otrzymuje w końcu szansę wyjścia poza zaściankową interesowność „zwykłej

polityki". Liberalna obsesja na punkcie porozumienia ponad podziałami, merytoryczności, kompetencji i ekspertów – sumiennie pielęgnowana przez dziennikarzy, którzy żyją głównie z jej dyskontowania – zdaje się sugerować, że w liberalnej demokracji polityka dlatego może być dobra, że jest jej tak mało.

Tak się jednak składa, że sam liberalny proceduralizm nie unika popadnięcia w esencjalizm. Dzieje się tak, ponieważ nie przestaje przypominać o sobie rzeczywistość podziałów klasowych, praca ku zmianie kwestionującej zastany ład społeczny, dlatego liberalna polityka zawsze dość daleka była od akademickich formuł, funkcjonujących w charakterze apologetyki. Tak jak w kapitalizmie logika wolnorynkowej konkurencji wielokrotnie musiała ustępować miejsca logice akumulacji w imię zachowania ciągłości systemowej, tak z tego samego powodu demokracja, jako bądź co bądź sposób sprawowania władzy, ograniczać musi zakres stosowania demokratycznych procedur. W pewnych zatem okolicznościach zawsze jest gotowa oddać się do pełnej dyspozycji powierników „prawdy”. Każda liberalno-demokratyczna konstytucja przewiduje możliwość wprowadzenia zamordyzmu w „nadzwyczajnych okolicznościach”. Przewiduje również ewentualność stosowania niedemokratycznych metod celem powstrzymania „wrogów demokracji”. Okazuje się, że żeby w ogóle mieć demokrację liberalną, czyli poważnie traktować obietnicę polityki bez przemocy, trzeba mieć środki pacyfikacji tych elementów politycznych, które w tę obietnicę nie wierzą.

Czyżby arbitralność? Ależ skąd, „nadzwyczajne okoliczności” zazwyczaj wykreślają takie terminy ze słowników. Skąd przecież wziąłby się Patriot Act – jedno z pomnikowych „osiągnięć” administracji Busha? W jaki sposób najstarsza demokracja nowożytnego świata mogła wpaść na pomysł, by wysłać rodzimą armię hen za ocean, by przetarła drogę innej, hipotetycznej demokracji za pomocą moździerzy i lotnictwa, a nawet białego fosforu, przy którym napalm to kaszka z mleczkiem? Dlaczego

demokracje w ogóle pozwalają sobie na przemoc polityczną (pomińmy w tym miejscu kryminalną), zarówno wobec własnych obywateli, jak i mieszkańców innych państw i to niemal jawnie, w świetle liberalnych konstytucji? Właśnie dzięki „nadzwyczajnym okolicznościom” – etykietkę tę można bezpiecznie przykleić wszelkim wstrząsom społecznym, również tym przejawiającym się na poziomie ponadnarodowym, których źródłem jest niezdolność liberalnej demokracji do politycznego przetrwania rzeczywistości, w jakiej funkcjonuje.

Socjaliści przywykli udzielać sztamowej odpowiedzi na pytanie o źródło możliwości przemocy klasowej w „realnych demokracjach”: bo burżuazja, bo imperializm... Jest to odpowiedź niepełna i powierzchowna, zaś lepsza wymaga pokreślenia głównej słabości liberalizmu, będącego tak naprawdę słabością samych liberałów. Przyjęta przez nich optyka, każe im często mniemać, że legitymizacja demokracji pochodzi z akceptacji ich abstrakcyjnego modelu – dlatego, gdy prąd przemian społecznych przynosi drastycznie „niemodelowe” zachowania zbiorowe, liberałowie upatrują w nich niechęci do demokracji. Tymczasem legitymizacja demokracji zawsze bierze się z poczucia kolektywnej siły sprawczej, pozwalającej ludziom osiągać cele społeczne, które uznają za ważne. Dlatego właśnie stosowano przemoc w imię demokracji. Stąd też dzisiejszy ruch alterglobalistyczny, przywoływany często jako symbol kryzysu legitymizacji „realnych demokracji”, kojarzy się ze spektakularnymi starciami z policją i równocześnie z postulatami dalszej demokratyzacji, głównie w sferze gospodarczej.

Dziesięciolecia, podczas których istniały liczące się partie reformistyczne, np. Brytyjska Partia Pracy, które w swych statutach miały zapisany postulat powszechnej nacjonalizacji, skłaniają do wyciągnięcia prostego wniosku: teoretycznie klasa robotnicza posiada wszelkie liberalno-demokratyczne środki po temu, aby demokracja działająca w oparciu o powszechne prawo wyborcze nie była dyktaturą burżuazji. A mimo to nią jest!

Klasowy charakter „realnych demokracji” nierozzerwalnie wiąże się z tym, że zawsze były one narzędziem zmagania klasowych, które są swoją własną historią. Ich forma i treść zawsze były odzwierciedleniem okoliczności ich powstania i rozwoju. Z kolei zawsze powstawały, trwały, a często upadały, jako element burz społecznych, bynajmniej nie przebiegających w demokratycznych warunkach. Były marzeniami, o które się bito feudałami; gilotynami, spod których toczyły się głowy królów; twierdzami, w których broniono się przed ich trupimi armiami; wreszcie bastionami, z których ostrzeliwano szturmującą klasę robotniczą, niezamierzającą przyjąć do wiadomości, że ktoś nie chce ich wpuścić do środka.

Dzisiaj stanowią głównie pole zmagania partii, chcących sprawować władzę, by za jej pomocą wcielać w życie ich własne esencjalizmy, pomimo tej całej „gadaniny” o pluralizmie i procedurach. I wielu się to udaje – głównie partiom stojącym na straży „świętego” prawa własności. Partiom, które nie uznają tej świętości zdarza się to niezwykle rzadko, ponieważ nie ma dla nich miejsca w tej pluralistycznej matrycy, która w chwili bieżącej służy do sprawowania władzy, i którą trzeba dopiero niepluralistycznie zmienić, aby mogły się zmieścić w kolejnej. Partie sprawujące dziś władzę, nie reprezentują interesu większości. Reprezentują interes mniejszości, którą po prostu muszą reprezentować, bo tak im każe pluralizm. Reprezentują interes oligarchii, której pluralizm służy za schron na wypadek, gdyby większość miała ich serdecznie dosyć i postanowiła ich zbombardować. Liberalnym demokratom nie ma prawa przyjść to do głowy, bo z pisanych przez nich podręczników do politologii nijak to nie wynika.

Niech więc choć raz podsumują, co z właśnie z nich nie wynika: liberalna demokracja jest fenomenem historycznym, który dziś występuje, ponieważ kiedyś burżuazji opłacało się jej wprowadzenie, a obecnie nie opłaca się im rezygnacja z niej. Pluralistyczny proceduralizm jest esencjalizmem wyższego stopnia funkcjonującym w ich świadomości jako prawda

objawiona. Wszystkie kluczowe instytucje demokratyczne – jako środki służące inkluzji politycznie wykluczonych grup społecznych (jeśli przyjąć dość użyteczną koncepcję Tilly’ego [7]) począwszy bodajże od rewolucji Cromwella wykuwane były ogniem, żelazem i krwią. Oczywiście po to, by po uprzątnięciu zwłok „ofiar ekscesów demokracji”, polityczni pacyfiści mogli wreszcie z czystymi rękoma sprawować władzę pluralistycznie, czyli bez przemocy. Czy w świetle tego wszystkiego Adam Michnik nadal ośmieli się być liberalnym demokratą? Wiadomo, że tak, ponieważ święcie wierzy on w demokrację bez przemocy. Nic dziwnego. Jak się ma „serce po lewej stronie, a portfel po prawej”, to bez dwóch zdań lepiej wierzyć, że już mamy społeczeństwo bezklasowe. Odnosząc się do osobników tego typu, Lew Trocki ukuł fantastyczny termin: kieszonkowcy historii.

DEMOKRACJA WYWŁASZCZENIOWA I JEJ WROGOWIE

Sposób powstawania i trwania demokracji zawsze sam stwarza ograniczające ją „nadzwyczajne okoliczności”, jednak przy ich diagnozie liberałowie przyjmują swój osobliwy punkt widzenia. Dzięki niemu klasowy charakter społeczeństw nie zostanie uznany za „nadzwyczajną okoliczność”, tymczasem zostanie za nią uznany gniew klasowy. Jest tak, ponieważ liberałowie mają bardzo jasny pogląd na to, co może być politycznością, a co musi pozostać świętością: prawo własności musi pozostać świętością. Jeżeli demokracja, oprócz dopuszczenia do głosu większości, stać ma na straży świętości, jasne jest, że pluralizm nad wyraz łatwo może stać się najskuteczniejszym środkiem służącym zakonserwowaniu status quo. Liberalizm ma jednak asa w rękawie, którym może przebić oskarżenia o arbitralność swojej świętości. Jest nim przekonanie, że własność prywatna zawsze jest wyłącznie prywatna – że odkąd zakazano niewolnictwa nigdy nie jest ona stosunkiem wiążącym ze sobą ludzi. Pozwala to nadać jej walor uniwersalności: własność jako powszechne prawo osoby ludzkiej, jako prawo do samoposiadania, prawo do samostanowienia Liberałowie nigdy nie zgodzą się na demokratyczne zakwestionowanie świętości

własności, ponieważ nigdy nie uznają, że własność może być stosunkiem władzy. My, socjaliści wiemy zaś, że jak najbardziej może ona być stosunkiem władzy – o ile tylko władca otwarcie tego nie zadeklaruje. Skoro tak, to samostanowienie może wymagać naruszenia własności należącej do kogoś innego, zaś imperatyw porzucenia społeczeństw klasowych stwarza wręcz taką konieczność. Chcąc nie chcąc, musi ona wyrazić się w haśle zerwania liberalnego porządku. Prawda, że nie zyska ono powszechnej akceptacji. I nie powinno. W pękniętych społeczeństwach powszechność jest po prostu najlepiej uzasadnionym partykularyzmem. Jeżeli demokrację pojąć jako samostanowienie – i raczej jako stan, a nie regułę – to w zasadzie nie wiadomo, dlaczego nie miałyby być ona walką o „najliczniejszy”, czyli najbardziej inkluzywny, partykularyzm.

Krytyka liberalizmu z perspektywy demokratycznej spotka się oczywiście z zarzutem „nadużycia semantycznego”. Jeżeli napomknie się o demokratyzacji gospodarki, to jak w banku trzeba będzie tłumaczyć się z „totalitaryzmu”. W krajach takich jak Polska socjaliści nieustannie znajdują się na celowniku prawicowych harcówników medialnych, ludzi żyjących z tropienia zbrodni komunizmu w przepisach na ruskie pierogi. Pomijając zagadnienie dyskusji z oszołomami, którzy o komunizmie wiedzą tyle, ile dowiedzieliby się z plakatów propagandowych generała Denikina, pozostaje do rozważenia kwestia o wiele istotniejsza. Liberalna prawica prowokuje nas pytaniami: skoro gotowi jesteście lekceważyć pluralizm, to co tak naprawdę może powstrzymać socjalizm od stoczenia się po równi pochyłej totalitaryzmu? Z punktu widzenia marksisty, należy udzielić jednej ogólnej odpowiedzi: polityczna aktywność ludzi pracy. Nie ulega kwestii, że gdyby w 1917 r. Rosja składała się z samych Piotrogradów, historia rosyjskiego państwa robotniczego potoczyłaby się inaczej. Choć i świadomość klasowa oczywiście nie wystarcza, bo obiektywnych warunków nigdy nie przeskoczy się samym „chceniem”, a w przypadku rewolucji bolszewickiej jej izolacja skazała ją w

końcu na triumf stalinizmu. Podstawowym wnioskiem, jaki należy wyciągnąć z traumatycznego rosyjskiego doświadczenia, jest to, że rewolucyjne zdobycie władzy jest zawsze prostsze, niż budowa socjalizmu. Socjaliści, którzy chcą ujrzyć socjalizm, nie zaś jedynie jego atrapę, skazani są na poszanowanie woli „ogromnej większości”, mówiąc skrótem z Manifestu komunistycznego. Tym lepiej – i dla socjalistów, i dla większości.

Jak odróżnić mniejszość, której rola w społeczeństwie powinna zawsze zostać uszanowana, od takiej, która powinna być świadomie i otwarcie dyskryminowana? Po prostu mniejszość drugiego rodzaju jedzie na plecach większości, a więc i wszystkich innych mniejszości razem wziętych. Nie ma mowy, żeby rzeczywista demokratyzacja stosunków gospodarczych mogła dokonać się z poszanowaniem prywatnej własności środków produkcji, a już na pewno nie może się dokonać bez rozmontowania megacentrów kapitału w postaci wielkich koncernów, które mają rzeczywisty wpływ na kształt i jakość życia milionów ludzi, znajdujących się w ich zasięgu, każdego dnia pozostających na pastwie korporacyjnych kijów i marchewek, tresowanych kłamstwem o „dobrowolności kontraktu”. Co ciekawe, nacjonalizacja tych korporacyjnych molochów, nie wiązałaby się z koniecznością pokrzywdzenia jakichś ich domniemyanych właścicieli, bo jest to kapitał „samoposiadający się”, którego własność rzadko spoczywa w rękach poszczególnych osób fizycznych. Ponieważ osoby prawne nie mogą cierpieć, kto zatem ucierpi? Kadra menedżerska, lobbyści, ich polityczne i medialne macki, oraz kilku istniejących jeszcze na świecie „prawdziwych kapitalistów”. Klasa posiadaczy przekształciła się w pewnym sensie w klasę poganiaczy. A kiedy już nie będą mogli poganiać? Będą pewnie musieli mieszkać w tylko jednym domu, bo na utrzymanie kilku już ich nie będzie stać. Kto wie, może nawet sami będą musieli w nich zmywać podłogę i czyścić muszle klozetowe. Pogwałcenie interesu tej plutokratyczno-technokratycznej mniejszości, mniejszej niż każda mniejszość narodowa, religijna czy seksualna, jest jak najbardziej

właściwą ceną politycznego i ekonomicznego upodmiotowienia większości. Ich banicja polityczna i gospodarcza powinna dokonać się mocą ustawy demokratycznie wybranego rządu, a schedę po nich powinny przejąć samorządne rady pracownicze, które przejmowałyby przedsiębiorstwa i w porozumieniu ze sobą nawzajem i z przedstawicielami środowisk lokalnych wdrażałyby demokratyczny plan produkcji.

Tego rodzaju posunięcia polityczne wymagają oczywiście pewnej dozy „arbitralności”, niestrawnej dla liberałów, o ile jednak miałyby one zajść, oznaczałoby to zapewne, że liberalizm stracił politycznie na znaczeniu. Arbitralność ta nie byłaby do końca arbitralna, jeżeli znamionowałyby decyzje podejmowane w wyniku powszechnej pluralistycznej (czemu nie?) debaty, wdrażanej przez demokratycznie wybrany rząd, odpowiedzialny przed ciałem przedstawicielskim reprezentującym większość społeczeństwa. Jasne, że arbitralności można doszukiwać się w samej demokracji większościowej i w prawie pozytywnym, ale wszystkich zwolenników oparcia polityki na prawie naturalnym, zgarniają chyba ultrakonserwatyści pokroju Marka Jurka. Jeżeli większość demokratycznie zdiagnozuje swoją sytuację, zidentyfikuje element antyspołeczny i zdecyduje się przed nim bronić, to nie ma w tym większej dozy arbitralności, niż w ekonomicznym, czyli „niewidocznym” podporządkowaniu sobie klasy pracowników najemnych przez posiadaczy lub poganiaczy, dokonującym się w świetle ideologii „wolnego wyboru”. Kiedy cena baryłki ropy skacze do poziomu prawie 150 dolarów, by zaraz spaść do 40 dolarów; kiedy jedna za drugą pękają bańki spekulacyjne, rozdęte do horrendalnych rozmiarów przez niezrozumiałe dla nikogo decyzje hermetycznego kręgu rekinów finansjery; kiedy bezrobocie galopuje, bo rzeczywistość gospodarcza przerosła oczekiwania korporacyjnych decydentów, to doskonale widać, jak rzekoma spontaniczność i naturalność wolnego rynku stają się w końcu żenującymi eufemizmami arbitralności. I jeżeli pluralistyczny porządek polityczny oferuje nam gwarancje, że burżuazyjni demiurdzy za nic w świecie nie zostaną ruszeni, bo parlamenty w 90 procentach

składają się z przedstawicieli najbogatszej części społeczeństwa, to przed taką „naturalnością” może uratować nas tylko arbitralność gniewu klasowego. Społeczeństwo „naturalnie” podzielone na wyrobników i poganiaczy samo przez się jest wręcz kwintesencją arbitralności i niczego innego nigdy ucieleśnić nie zdoła.

Spodziewać się można, że zaraz zostaniemy ostrzeżeni przed stoczeniem się w otchłań nienawiści, nie tylko klasowej, ale i etnicznej, rasowej, religijnej – krótko mówiąc: czeka nas spektakularna rzeź kozłów ofiarnych. Skoro istnieje przyzwolenie na jawną gospodarczą i polityczną krzywdę bogaczy – powiedzą liberałowie – cóż może powstrzymać rozwścieczony motłoch przed pogromami Żydów, imigrantów lub homoseksualistów? Przecież wiadomo, że komunizm to faszyzm.

No, właśnie – nie wiadomo. A raczej wiadomo, że wprost przeciwnie. To, co zwykle skrótowo (i błędnie) określa się mianem faszyzmu, czyli ideologii rasistowskie, ksenofobiczne i nacjonalistyczne, wsparte jest na filarze absolutnego wykluczenia „innych” ze społeczności „swoich” i przeprowadza linie tych nieprzekraczalnych podziałów na podstawie różnic rzekomo naturalnych. Z kolei ideologia komunistyczna kreśli linie podziałów społecznych na podstawie klas, czyli grup pełniących funkcjonalne role społeczne. Pozostają one wobec siebie w stosunku komplementarności i antagonizmu zarazem: z jednej strony, razem stanowią strukturę społeczną, z drugiej – tarcia między nimi określają dynamikę zmiany społecznej. Komunizm opiera się na przekonaniu, że rozbieżność interesu między ludźmi pochodzi nie z jakichś przyrodzonych i niezbywalnych właściwości, które pokawałkowanej ludzkości każą żyć w podobno „naturalnym” wykluczeniu wzajemnym, ale ze sposobu funkcjonowania społeczeństw. Rozbieżności te mogą zostać ponadto przewyciężone dzięki ewolucji materialnych warunków ludzkiej koegzystencji i rewolucjom w stosunkach społecznych. Socjaliści dążą do możliwie pełnej inkluzji społecznej. Jeżeli zatem liberałowie dopuszczają możliwość

sprawiedliwej wojny o pokój i sprawiedliwego użycia przemocy w celu zabezpieczenia wolności, to niby czemu socjaliści mają nie dopuszczać możliwości sprawiedliwego wykluczenia jako drogi do pełniejszej inkluzji? Choć dla niektórych może to brzmieć nieco sofistycznie, to możliwe i pożądane jest celowe naruszenie interesu określonej grupy społecznej w imię samostanowienia całości społeczeństwa. Nie ma tu nic bardziej pokrętnego niż w izolacji bandytów. Demokracja bez liberalnego bożka jest w stanie dokonać tego w sposób przejrzysty i politycznie kontrolowany, czego raczej nie sposób powiedzieć o tych wariantach wykluczenia, jakie milionom gwarantuje rynek.

KRÓTKI ŻYWOT KONSENSUSU

W dyskursach liberalnych utarło się przekonanie, że problemy tzw. młodych demokracji, polegające głównie na populizmie, braku stabilności politycznej, klientelizmie „grup trzymających władzę”, wątpliwym porządku konstytucyjnym, a nawet na groźbie stoczenia się w autorytaryzm, pochodzą z niedojrzałości politycznej społeczeństw i ich ułomnej mentalności, okupowanej przez homo sovieticus, lub podobne nieliberalne widma, nie gustujące w demokracji. Stąd pochodzić ma skłonność do lekceważenia pluralizmu, akcentowanie podziałów społecznych zamiast wszechogarniającej, ponadpolitycznej jedności, i niebezpieczeństwo rozwiązań siłowych. Ta subiektywistyczna interpretacja jest błędna, nie przyjmuje bowiem do wiadomości, że demokracja rzeczywiście możliwa jest przede wszystkim tam, gdzie umożliwia ją splot obiektywnych relacji społecznych. Życie polityczne w demokracji liberalnej może być zgodne z jej duchem, o ile współzależność grup interesu – my, marksiści, powiemy: klas – ma charakter mniej więcej symetryczny. W przypadku istotnej politycznej lub gospodarczej przewagi jednej ze stron, demokracja zawsze pozostaje przykrywką dla bezwzględnej walki o dominację. Tymczasem równowaga klasowa może być uzyskana wyłącznie drogą polityczną i jeżeli w ogóle jest możliwa, to zazwyczaj w sposób krótkotrwały. Rozbieżność realnych

interesów oznacza, że porządek konstytucyjny zawsze będzie stał na straży dobra jednej grupy, lub ich koalicji, i co za tym idzie – chętnie będzie naginany przez ich antagonistów.

Przykładu tej prawidłowości dostarcza m.in. wydana niedawno po polsku książka na temat hiszpańskiej wojny domowej autorstwa Antony'ego Beevora [8]. Dlaczego w kraju korzystającym ze wszystkich „dobrodziejstw” demokracji parlamentarnej, ludzie postanowili zabijać się dziesiątkami tysięcy? Autor formułuje tezę, że jedną z przyczyn tego krwawego konfliktu, po dziś dzień rozpalającego emocje na politycznej scenie Hiszpanii, było to, że obie strony nie uznawały możliwości wzajemnych ustępstw, np. nie akceptowały decyzji podejmowanych przez przeciwników, gdy ci sprawowali władzę z nadania wyborców. Jednak interpretację Beevora trudno uznać za subiektywistyczną, bo choć nie pisze on tego wprost, to daje jednak do zrozumienia, że jaskrawe podziały klasowe w hiszpańskim społeczeństwie czyniły pluralistyczny konsensus praktycznie niemożliwym. Podobnie jak w Rosji, wojna domowa toczyła się w rzeczywistości jeszcze przed jej „oficjalnym” wybuchem, z powodu nierozwiązywalnych konfliktów klasowych, mającym rzecz jasna podłoże gospodarcze. W tych warunkach trudno oczekiwać, że instytucje demokracji liberalnej służyć mogą czemuś więcej niż tylko dobremu samopoczuciu liberałów, dającemu im licencję na pouczanie społeczeństwa, że nie dorosło ono do demokracji.

Opinia Przeworskiego, że do krwawych rewolucji nie doszło w państwach z dobrze funkcjonującymi demokracjami, nie zmienia faktu, że zarówno wyniszczenie Europy po zakończeniu Pierwszej Wojny Światowej, jak i Wielki Kryzys lat 30. zaostriżyły konflikty klasowe, powodując powszechne wrzenie polityczne, często kończące się krwawymi rozruchami. Tam, gdzie nie doszło do rewolucji, ani do triumfu faszyzmu, często dochodziło do naciągania lub przerabiania istniejącego porządku konstytucyjnego w sposób, który dzisiejsi liberałowie uznaliby za niedopuszczalny. Tak było chociażby w przypadku

amerykańskiego New Dealu. Roosevelt, mimo, że na dłuższą metę zakonserwował klasowe panowanie burżuazji, to poważnie zamachnął się na jej doraźny interes. Liberalni demokraci przywołują nieraz przykład USA z lat 30., jako akceptowalnego przez nich rozwiązania reformistycznego, a jednak jego okoliczności daleko odbiegały od tego, co byliby skłonni akceptować dzisiaj. Jego cechą było celowe naruszenie interesu bogaczy, sownicie okraszone retoryką, która dziś z pewnością dorobiłaby się etykiety populizmu. Uznano je za „konsensus” socjaldemokratyczny, ponieważ na dziesięciolecie określiło ono nowy układ interesów, dogłębnie spenetrowało porządek prawny i w pewnej mierze przetrwało do czasów Reagana. Lecz to jest właśnie doskonały przykład mentalności kieszonkowców historii – uznajemy określony układ za pluralistyczny, o ile nie pytamy, w jaki sposób jest on możliwy.

Liberalni demokraci czasów powojennych chętnie akceptowali „konsensus” socjaldemokratyczny, często dostrzegając w nim szczytowe osiągnięcie demokracji, która dopiero w zadaniu „pogodzenia” klasy robotniczej z burżuazją popisać się mogła pełnią swojego koncyliacyjnego potencjału. „Konsensus” przemówił również do wielu lewicowców, którzy w porywie oczarowania nim odesłali Marksa do lamusa. Dzisiaj socjaldemokratyczny model polityki gospodarczej i społecznej traktuje się poniekąd tak, jak samą demokrację liberalną – jako gotowy, uniwersalny, ponadczasowy i ponadpolityczny przepis na najlepszy z możliwych światów. Ta „harmonia klas” funkcjonowała jednak w określonych warunkach, a wraz z ich zmianą załamała się w niespełna dziesięć lat.

Warto wspomnieć dwie niezwykle wpływowe pozycje literatury liberalnej, Społeczeństwo otwarte i jego wrogowie Karla Poppera oraz Klasy i konflikt klasowy w społeczeństwie przemysłowym Ralpa Dahrendorfa. Obaj autorzy, uznający się liberałów, stali na stanowisku, że to demokracja jest tym, co czyni kapitalizm znośnym, bo pozwala go okiełznać. Znamiennym jest fakt, że te pomnikowe dzieła zostały wydane na przełomie

lat 50. i 60., czyli w szczytowym okresie powojennego bumu gospodarczego. Niemal trzydziestoletnie prosperity z pewnością pozwoliło socjaldemokratom wyrobić sobie markę zarówno wśród klasy robotniczej, jak i w oczach niektórych marksistów, rozczarowanych nieco faktem, że kapitalizm nijak nie chciał upadać, mimo że sporo robotników nadal skłonna była maszerować pod czerwonymi flagami. Wydawać się mogło, że rewizjonistyczna wizja kapitalizmu, w którym wszyscy, tzn. wszystkie klasy, mogą wygrać starcie na rynku i w parlamentach, wreszcie zaczęła się spełniać. Co więcej, ci lewicowcy, którzy uznają się za liberalnych demokratów, do dziś utrzymują, że to właśnie dzięki zgodzie klasowej, szczytowemu osiągnięciu pluralizmu, i możliwej przez to hojnej redystrybucji, powojenny boom był w ogóle możliwy. Dzisiaj marksiści zgadzają się grubsza, że „złoty wiek” kapitalizmu wynikał raczej z restrukturyzacji światowego kapitału w wyniku Drugiej Wojny Światowej, „odcinaniu kuponów” od gigantycznych inwestycji wojennych rządu USA i światowej roli dolara zagwarantowanej porozumieniem z Bretton Woods, niż stymulowaniem konsumpcji indywidualnej, jak sugerują keynesiści. Stagflacyjna kompromitacja keynesizmu w kryzysie lat 70., a następnie trwająca do dzisiaj światowa ofensywa reakcyjnej polityki gospodarczej i społecznej, przemawiają za tezą, że „konsensus” socjaldemokratyczny nie miał charakteru uniwersalnego i był raczej wyrazem specyficznych warunków jednego z etapów historii kapitalizmu – warunków, które na dłuższą metę okazały się nie do pogodzenia z logiką kapitalistycznej akumulacji. Obecnie, gdy otwarcie przedstawia się masowe zwolnienia, ograniczanie płac i rządowe cięcia socjalne, jako najlepsze lekarstwo na kryzys, czyli gdy za główny warunek powrotu kapitalizmu do zdrowia przyjmuje się zbiednienie społeczeństwa, wizja ponadklasowej jedności pozostać może już tylko swoją własną karykaturą. „Lewicowi” liberalni demokraci i ideologiczne ameby burżuazji, np. Nicolas Sarkozy, pokrzykują wprawdzie o ochronie miejsc pracy i poziomem życia, nie mają jednak żadnej wątpliwości, że pomagać trzeba w pierwszym rzędzie dysponentom kapitału, bo w tym ustroju

gospodarczym interes każdego się liczy, ale interes niektórych liczy się bardziej. Nie ma w tym nic dziwnego: wszelkie próby przykładania kategorii demokratycznych do kapitalistycznej ekonomii politycznej, muszą skończyć się gonieniem własnego ogona.

Niezależnie od tego, co powiedzą Michnikowie tej ziemi, społeczeństwa klasowe płoną, dlatego że łatwo ulegają samozapłonowi, a nie ponieważ jacyś maniacy biegają z zapałkami. Część lewicy to rozumie, wyciągają jednak z tego błędny wniosek o konieczności naprawy demokracji liberalnej przez wyakcentowanie jej konfliktowego charakteru, stąd popularność jaką ostatnio cieszą się teorie w rodzaju agonizmu Chantal Mouffe [9]. Przyznając rację jej krytyce koncyliacyjnych wątków liberalizmu, trzeba jednocześnie pamiętać, że postrzega ona konflikt polityczny w kategoriach quasi-naturalnych, jako dany, zastany i nieusuwalny, odwołując się m.in. do pojęcia „sposobów życia” Wittgensteina. Natomiast konflikt polityczny zdecydowanie różni się od „konfliktu” wynikającego z różnic między naturalnymi preferencjami. Różnica gustów między smakoszami jabłek i amatorami gruszek nigdy nie stanie się konfliktem politycznym. Ma on u swych podstaw napięcia klasowe charakteryzujące sposoby działania społeczeństw w warunkach, gdy materialne warunki ich funkcjonowania ułatwiają dominację mniejszości nad większością. Te warunki zaś zmieniały się, zmieniają i będą się zmieniać, jednak nie same z siebie. Koniecznym elementem tego procesu jest rozwiązywanie konfliktów klasowych w toku podążania w stronę społeczeństwa bezklasowego.

Ostatni problem polega na tym, że ci, którzy stawiają taki postulat, stawiają go czasem w cudzysłowie. Jest tak w przypadku „hipotezy komunistycznej” Alaina Badiou. Sprawia ona wrażenie swoistej idei regulatywnej, w którą trzeba wierzyć nie dlatego, że kiedykolwiek może się spełnić, a dlatego, że służyć może „ożywieniu” lewicy. Ale celem lewicy nie jest utrzymywanie się przy życiu, tylko doprowadzenie do własnego

końca, który nastanie wraz ze społeczeństwem bezklasowym. Badiou nie dostrzega chyba, że jego podejście jest w dużej mierze zgodne z duchem liberalizmu: cel się liczy mniej, niż zasada, (bo prymat celu grozi totalitaryzmem) i to ona rozstrzyga o słuszności stanowiska zajmowanego w jej imię. Sto lat temu z grubsza ten sam motyw wykorzystał Eduard Bernstein uznając, że „Cel jest niczym, ruch jest wszystkim”, co doprowadziło w końcu niemiecką socjaldemokrację do decyzji o pacyfikacji rewolucji w imię „porządku”. Po raz enty dostajemy zatem propozycję, aby oprzeć politykę na jakiejś zasadzie, która nie doprowadzi co prawda do przełomu w realiach życia społecznego, ale za to pozwoli zachować „czystość” Idei, uchronić ją od zbezczeszczenia wskutek jakiegoś niestosownego psikusa historii, z którego komuniści musieliby znowu w nieskończoność się tłumaczyć. Kryje się za tym niewypowiedziana sugestia, że najlepiej w ogóle nie poprawiać historii, tylko liczyć na to, że w końcu sama doprowadzi do czegoś socjalistycznie sensownego. Co ciekawe, wcale nie wymaga to wiary w „konieczność historyczną”, a jedynie komunistycznej wersji zakładu Pascala. Opłaca się opowiedzieć się za hipotezą komunistyczną, bo jeżeli się ona spełni, to wygraliśmy, a jak się nie spełni, to i tak nic nie tracimy, ponieważ ostatecznie to rzeczywistość okrywa się hańbą, nie racząc doprowadzić ludzkości do komunizmu. Ta ewentualność przesądza poza tym o naszym zwycięstwie moralnym, bo prawica nie ma się czego czepiać – już żaden Lenin nie zostanie posądzony o to, że doprowadził do stalinizmu.

Postawa taka, nawet jeśli nie można utożsamiać jej z liberalizmem, to jednak do złudzenia przypomina przypadek „kieszonkowców historii”.

„Hipoteza komunistyczna” nie wystarczy nawet do swojego własnego przetrwania. Społeczeństwo bezklasowe na pewno nie nadejdzie poprzez wieszczenie samej jej możliwości, a raczej przez postulat pozbawienia obecnej klasy rządzącej jej politycznej i gospodarczej władzy. To, że socjaliści nie

powinni dawać się „naciągać” na liberalizm, nie oznacza, że mamy od razu wzywać do przemocy rewolucyjnej – jej gloryfikacja jest dziś w końcu domeną salonowej literatury rozrywkowej, np. w wydaniu Slavoj Żižka. Rzecz w tym, że liberałowie zawsze są ideologicznie zobowiązani do formułowania rozwiązań mających w zamyśle służyć wszystkim, a ich jedyną od tego wymówką może być frazes: „w długim okresie czasu”. Socjaliści z kolei są po prostu z tego zwolnieni. Działamy w interesie klasy pracowników najemnych i pozostałych grup podporządkowanych kapitałowi, zdolnych według nas doprowadzić do uspołecznienia gospodarki „przez ogromną większość, w interesie ogromnej większości”. Rozumiemy, że pachnie to dyktaturą większości, i że – w okolicznościach łatwo dostrzegalnych dla wszystkich – stanowi to problem przede wszystkim dla rzeczników dyktatury mniejszości. Nie ma żadnych szans na zaistnienie demokracji, która całkowicie wykluczyłaby stosowanie rozwiązań siłowych w imię samostanowienia. Demokracja nie musi się tłumaczyć z tego, że zawsze unosi się nad nią widmo przemocy. Za to liberałowie muszą się wytłumaczyć z tego, że „chroniąc” demokrację przed „wypaczeniem przemocy”, mają demosowi do zaoferowania przede wszystkim panowanie klasy poganiaczy. I teraz już się nie wytłumaczają.

Autor: Paweł Jaworski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

PRZYPISY

[1] A. Michnik, „Przyjaciele moich przyjaciół, terroryści”, Gazeta Wyborcza, 25-26 kwietnia 2009.

[2] P. Pacewicz, „Czyja Polska?”, Gazeta Wyborcza, 22 maja 2009.

[3] Kurkiewy, Radio Tok FM, 24 sierpnia 2009.

[4] A. Przeworski, „Demokracja to nierówność”, Dziennik, 30-31 maja 2009.

[5] W. Sadurski, „Teoretyczne podstawy liberalnego konstytucjonalizmu”, [w:] B. Misztal, M. Przychodzeń (red.) Aktualność wolności, Warszawa 2005.

[6] R. Dahl, Democracy and It's Critics, Yale University Press, 1991.

[7] C. Tilly, Demokracja, Warszawa 2008.

[8] A. Beevor, Walka o Hiszpanię 1936-1939, Kraków 2009.

[9] C. Mouffe, Paradoks demokracji, Wrocław 2005.